

Adam Wiaryga-Minieski.

## MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

40

— Iiil... nie „deje“ się panienska wyśmiać!... Także coś!... Rzeźniczka by zreśta nie chciała... Przecież to zaraz widno, że panienska jest z „wyższego“ domu i do prostej roboty nie przyuczona...

— Błażejował... Błażejował... — dało się słyszeć wołanie na podwórku.

— A kiż się dyabli urwali! Ta idę już, idę!... Nie trza się pyska rozdzierać...

Świadkiem rozmowy Józki ze stróżką była siwiejąca, niska, przysadkowata kobieta, która od chwili stała już i bardzo uważnie się przysłuchiwała.

Była to lokatorka z tego samego domu, nazwiskiem Migdałowa. Czy była wdową, czy miała męża kiedykolwiek, tego nikt napewno nie wiedział i nikogo to też właściwie tutaj nie obchodziło.

Zajmowała mieszkanie stosunkowo duże, żyła dostatnio i nazywało się, że ma pralnię.

Co prawda w pralni tej pranie odbywało się dość rzadko, ale zało zawsze było kilka młodych i przystojnych praczek.

W szerokiej, płaskiej, jakby rozgniecionej twarzy tej kobiety, w jej borych, chytrych oczach było coś, co przypominało ropuchę.

Józka czuła do Migdałowej żywiołowy wstręt, bała się jej i unikała. Ale ta, nie zważając na lakoniczne odpowiedzi młodej kobiety, zachodziła jej często drogę, próbowała odwiedzać ją i narzucać się z przysługami i z jakimiś niewyraźnymi radami.

Józki zdawało się zawsze, że od tej sąsiadki, z jej słów, uśmiechów i spojrzeń bije jakaś woń zgnięta, zrodzona na bagnach grząskich a głębokich, w których się ginie bez ratunku.

Instynktownie strzegła się, a Migdałowa ścigała ją jak uparty myśliwiec zwierzynę.

— Co też pani w głowie — zaczęła teraz rozmowę tonem przyjaznym, przymilającym prawie. Pani miałaby za pomysł być u takiej rzeźniczki... Czy to dla pani robota... Czy to dla pani życie... Pani się całkiem coś innego zna... Ja bym sama doradziła — tak z życzliwością...

Józka, nie patrząc na usługną sąsiadkę, postąpiła kilka kroków dalej.

— Dziękuję pani: Dam sobie sama radę... Nie chcę pani fatygować — odpowiedziała sucho.

Oczy Migdałowej zamigotały złością.

— Patrzcie!... jaka mi królewna!... — syknęła — W butach dziury! gryźć co nie ma, a stawia się!... Poczekaj, przyjdiesz ty jeszcze na moje podwórko! Nie takie jak ty Migdałowa w rękę całowały i pięknie prosiły!...

Przenikliwie, lodowate dreszcze idą Józki po kościach... W całym ciele dziwne łamanie... w gardle ucisk nieznosny... Głowa ciąży i boli... A nadewszystko zimno... zimno i zimno...

W wilgotnej, pleśnej, cuchnącej izdebce od kilku dni nie palono... Mróz szczyrzy po kątach zębami...

Józka ubrała się w najcieplejszą, jaką jeszcze obecnie posiada bluzkę, włożyła zakiel, przykryła się kołdrą, wtuliła głowę w jedną pozostałą poduszkę i chce ogrzać swe ciało, którym coraz silniej wstrząsa febra...

Wierzch czaszki ma jakby opasany żelazną obręczą, która się z każdą niemal chwilą mocniej zaciska...

Z piersi Józki wydobył się słaby jęk...

Wyciągnęła z pod kołdry rękę po garnuszek z wodą. Pomimo wstrząsających ją dreszczów i zimna, jakie panuje w jej mieszkaniu, Józka odczuwa palące pragnienie... Wargi ma spękane, ślinę gorącą, a język taki wyschnięty jakiś i zesztywniały, jakby był z drewna.

— Rozchoruję się czy co?... — wije się myśl w przyćmionym mózgu.

Nawet jej nie przeraża to przypuszczenie... Wszystko jedno... niech co chce się dzieć...

Tylko to zimno... to straszliwe zimno!... To dziwne — wewnątrz pali jak żarem, a po kościach wciąż chodzi zimno, wciska się, przenika w każdą żyłkę, podrażnia ciało osłabłem, obolałem...

Józka nie jadła dzisiaj nic od rana, a całe jej śniadanie stanowił kawałek suchego chleba i garnuszek niezabielonego mlekiem surogatu

kawy. Ale głodna nie jest wcale, przeciwnie, na wspomnienie pokarmów ogarnia ją obrzydzenie.

Jeszcze wczoraj ssal ją głód, jeszcze wczoraj dostawała mdłości, przechodząc koto wędliniarni, cukierni lub restauracji. Dzisiaj jest syta, tak syta, że przez gardło, zda się, wata wypchane, nie przeszedłby już ani jeden kęs.

Ciężkie powieki opadły jej na oczy. Zasnęła niespokojnym, męczącym snem gorączkowego majaczenia...

Spała tak może z godzinę, rzucając się po łóżku i jęcząc przez sen.

Zbudziła się zimnym potem oblana i z silniejszym jeszcze bólem głowy.

Wokół niej było pusto, głucho i czarno. Szeroko rozwartymi żrenicami wpatrzyła się Józka w ciemność.

— Boże!... toż ja mogłabym umrzeć tutaj, a niktby nie zająrał!... niktby nie wiedział!...

Umrzeć!...

Nagły przemożny strach chwycił ją za włosy. Zdawało się jej, że z ciemności wylania się jakaś wysoka postać, która stąpa niedosłyszalnie, ale idzie, idzie... Już zaraz będzie przy jej łóżku... już za chwilę dotknie jej zimnemi, jak śmierć rękoma.

— Jezul!...

Józka krzyknęła głośno. Żeby jej szczękały. Momentalnie odrzuciła kołdrę i porwała leżące na stolku zapalki.

Kilka zapalek zgasało w jej drżących palcach, zanim zdolała zapalić ogarek świeczki.

Zerwała się i nacisnęła pospiesznie czapeczkę na głowę.

Jedno miała teraz tylko pragnienie: wydostać się jak najprędzej z tej samotności, z tej pustej czarnej izby, gdzie czai się strach niesamowity, gdzie niewidzialne wśród ciemności pełza przeżalenie, jak gad zimny i jadowity.

Przebiegła przez sień, podwórko i bramę, jakby ją kto gonil.

Nie dygotała już teraz z zimna. Przeciwnie, zrobiło się jej tak gorąco, że nie zapięła nawet guzików paltocika.

Wstąpiło w nią chorobliwe podniecenie — jakaś gorączkowa energia. Śmiało i pewnie szła przez ciemne uliczki i zakazane zaułki, które ją zwykle napępiały niestłuchaną frwogą.

Śmiało i pewnie wydostała się wreszcie na pierwszorzędną ulicę i zatnęła w tłumie.

Śnieg trzeszczał pod dziurawymi podeszwami Józki, ale ona nie czuła wcale zimna. Było jej ciepło i wesoło. Zuchwale, jak nigdy, spoglądała na przechodniów, uśmiechając się wyzywająco.

Kilka razy zaśmiała się głośno, tak się jej wydało zabawnem, że ci ludzie chodzą i chodzą w jedną i w drugą stronę... Wszędzie ich pełno... Wypowiedziała nawet sama do siebie jakąś uwagę na ten temat. Ktoś obejrzał się za nią i mruknął:

— Waryatka!

Józka mijala sklepy, kawiarnie, restauracje, zatopione w potokach światła. Siłą nąłgu szukała na szybach wystawowych — kartek. Wreszcie na szybie jakiejś kwiaciarni przeczytała: „Potrzebna dziewczyna do posylek“.

Zastanowiła się krótką chwilę.

— Aha... do posylek... Dobrze... wejdę tu... Muszę dostać to miejsce. Gorączka dodawała jej odwagi. Śmiało weszła do sklepu i energicznie oświadczyła subjektowi:

— Chcę mówić z właścicielem...

Subjekt, układający właśnie chryzantemy w porcelanowym wazonie, popatrzył dziwnie na Józkę i zrobił niewyraźną minę.

Widać było, że nie wie, co odpowiedzieć. Ale już sam właściciel, niemłody, łysawy, wygolony mężczyzna, usłyszał i podszedł:

— Pani sobie życzy?... — zapytał ze zdawkowym, mdłym uśmiechem, który, zda się, przyrósł mu do twarzy.

— Pan potrzebuje dziewczyny do posylek. Ja pragnęłabym objąć to miejsce — rzekła Józka, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

Subjekt parsknął przytłumionym uśmiechem. Właściciel kwiaciarni milczał przez chwilę.

— To nie dla pani miejsce... — powiedział wreszcie.

— Dlaczego?... Ja chcę pracować, ja muszę pracować, rozumie pan?!... — mówiła już napół przytomnie.

— Tak... tak rozumiem... ale taka bieranina — to rzecz męcząca... To trzeba kogoś silniejszego.

— Kiedy ja jestem silna!... O bardzo silna!... — prosiwała się i bez potrzeby zaśmiała się głośno.

Ale w tej chwili wstrząsnął ją głuchy kaszel,

Właściciel uważnie patrzył na nią: spostrzegł gorączką błyszczące oczy, okrągłe, małe wypieki na policzkach, wargi spieczone, spękane i nerwowo drżące ręce, drobne, kształtne, bledne rączki z poodmrażanymi palcami.

Przestał się uśmiechać.

— Pani jest chora... Pani powinna zaraz iść do domu i położyć się...

— Ja chora?! Chyba się panu śni!... — śmiała się jeszcze głośnie — ja zdrowa taka jestem, że no!

Dla kupca sytuacja stawała się kłopotliwą. Do sklepu wchodzili nowi klienci, w pracowni czekała robota — chciał więc co rychlej pozbyć się dziwnej kandydatki na posadę dziewczyny do „posylek“.

— Dzisiaj nie mogę jeszcze dać pani odpowiedzi — rzekł pospiesznie — proszę przyjść za tydzień...

Za tydzień... za tydzień...

Pomimo gorączkowego stanu, w jakim się znajdowała, zrozumiała, że to jest zwodnicza nadzieja...

Chwyciła ją złość nagle, mocna, niepołamowana.

— Jacyście wy podli wszyscy! — krzyknęła i wybiegła z kwiaciarni, trzasnąwszy tak silnie drzwiami za sobą, że o mało co nie wypadła z nich wielka, kosztowna tafla szyby.

Na ulicy owionął ją zimny wiatr. Zakaszła znów. Jednocześnie wstrząsnął nią dreszcz. Skuliła się w sobie i przez chwilę stała przed sklepem, bezmyślnie spoglądając przed siebie.

Ktoś z wchodzących do kwiaciarni potrącił ją. Usunęła się machinalnie i poszła dalej.

Pusikę miała teraz taką w głowie, że nie było w niej miejsca na żadną myśl... Szła tylko coraz wolniej z coraz większym wysiłkiem, bo ją rozbięrała choroba...

Powróciły dreszcze, w boku kłóło jak szpilkami, głowa zdawała się ołowianym ciężarem...

Sama nie wiedziała, jak zaszła do domu, bo straciła zupełnie orientację kierunku...

Otworzywszy drzwi swego mieszkania, które zapomniła zamknąć na klucz, cofnęła się nagle w tył i krzyknęła przeraźliwie:

— Kto tu?

Na stolku płonęła świeca w butelce, a na łóżku siedziała jakaś kobieta.

Kobieta na widok Józki podniosła się z wolna:

— Ta to ja... Migdałowa... Czego się panna Józka tak stracha?

— Migdałowa... Aha!... Migdałowa... Migdałowa... — powtarzała, jakby usiłując zrozumieć.

— A taż ja... Przysłałam sobie do panny Józki z jednym interesem, bo choć panna dumna, ale ja mam „miękkie“ serce i żal mi panny, bo tak już coś do panny Józki czuję, jak do rodzonej córki...

Uśmiechnęła się przypochlebnie i brzydko.

Józka przysiadła na łóżku obok Migdałowej i spoglądała na nią błędnie. Tamta rozglądała się po wilgotnej, pustej stancyi, przypatrywała się Józki i potrasała głową.

— No, nie teę u panny obrada... I panna wymizerowana jest, jak ta kość, co ją psy ogryzą... Ale to nic... Panna szczęście ma! o ma!...

— Szczęście mam, prawda?... — zapytała Józka i zaśmiała się dziko.

Nie rozumiała ona właściwie, co Migdałowa mówi do niej. Gorączka paliła ją i z wolna odbierała przytomność. Ale Migdałowa nie spostrzegła tego jeszcze i ciągnęła dalej tajemniczo:

— Wie panna Józka... Ja znam jednego pana...

Młody pan... dobry pan... jak malowanie ładny i bogaty... i hrabia... prawdziwy hrabia!...

— Hrabia... — powtarza Józka bezmyślnie ostatnie słowo.

— Żeby tak jutra nie doczekała, jak hrabia!...

Panny za nim waryują poprostu, no, ale co się nie dzieje... Jemu się akurat panna Józka spodobała!... Strasznie mu się spodobała!... Tak on...

Józka przysunęła się nagle do swojej towarzyszki i jęła jej szeptać do ucha:

— Wie pani, pojedziemy do Zalesinek... zaraz jutro pojedziemy do Zalesinek...

Migdałowa owionął gorący, rozpalony oddech. Kobieta uważnie spozrzała na Józkę.

— Ta co panna Józka pleciesz? Do jakich Zalesinek?

— Konrad tam czeka na mnie... Konrad... Bo to z tą depeszą to wszystko nieprawda... To ona tak wymyśliła, żeby mnie zgubić... — bredziła dalej Józka, wpijając w twarz Migdałowej zmętniałe żrenice.

(Ciąg dalszy nastąpi.)